

## **Marian Sawa in memoriam – wspomnienie w pierwszą rocznicę śmierci**

Gdy w Dzień Zaduszny, 2 listopada 2005 roku, stałem nad grobem Mariana Sawy na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie, wciąż nie mogłem pogodzić się z myślą, że już nie ma Go wśród nas... Od dnia Jego śmierci mija już rok. Ilekroć przechodzę w pobliżu ul. Jagiellońskiej na warszawskiej Pradze, gdzie mieszkał, myślami wracam do chwil, kiedy Go tam odwiedzałem. Przez gardło nie mogą przejść wyrażone w czasie przeszłym słowa „tu mieszkał...”. Mam wrażenie, że On nadal tam przebywa i tworzy.

Mariana Sawę poznałem w 1993 roku przy okazji podjęcia przez Niego, na zaproszenie ks. prof. Kazimierza Szymonika, współpracy z Chórem Akademii Teologii Katolickiej (obecnie Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego) w Warszawie, w którym wówczas śpiewałem. Ten wybitny organista i kompozytor miał wtedy pojechać ze wspomnianym powyżej zespołem na tournée koncertowe do Włoch i Francji, połączone z beatyfikacją siostry Faustyny Kowalskiej w Rzymie i uroczystościami Wielkiego Tygodnia w Katedrze w Rouen. Pomysł zaproszenia Sawy podsunął księdzu Szymonikowi Tadeusz Olszewski – szef Warszawskiego Zespołu Chorałowego, a prywatnie wieloletni (od czasów studiów) przyjaciel Artysty. Z zespołem tym Sawa wielokrotnie koncertował jako akompaniator i improwizator, poprzedzając śpiew chóru krótkimi, improwizowanymi interludiami, wprowadzającymi nastrój poszczególnych utworów. W takim właśnie charakterze wiosną 1993 roku wyjechał Marian Sawa razem z Chórem ATK na południe Europy. Ten pierwszy wyjazd zaowocował wieloletnią, trwającą nieomal do ostatnich chwil życia Artysty współpracą z Chórem ATK, manifestującą się nie tylko improwizacjami pomiędzy poszczególnymi pozycjami programu podczas koncertów, ale także realizacją partii organów w formach wokalnoinstrumentalnych. Wkrótce potem Sawa zaczął tworzyć na potrzeby wspomnianego zespołu liczne dzieła chóralne i wokalnoinstrumentalne. Z pracowni Sawy wyszło ich łącznie blisko trzydzieści. Należą do nich m.in. chóralne *Gloria Tibi Trinitas*, *Veni Sancte Spiritus*, *Dwa motety Bożonarodzeniowe*, *Tryptyk Maryjny*, *Popule meus*, *Crux fidelis*, *In monte Oliveti*, zaś z form wokalnoinstrumentalnych m.in.: *Białym orłem wleć* (do własnych słów Kompozytora), *Via Crucis*, *Missa Claromontana*. Niektóre z nich dedykowane są Chórowi ATK. Większość z nich została przez ten zespół prawykonana i zarejestrowana na płytach kompaktowych.

Moje osobiste kontakty z Marianem Sawą od tego czasu pogłębiały się. Wielokrotnie z Nim rozmawiałem na różne tematy. Zawsze wydawał mi się Człowiekiem niezwykłym, ponadprzeciętnym, a przy tym nad wyraz skromnym, nie wyróżniającym się, nie zabiegającym o rozgłos. Któregoś dnia, podczas jednego z wyjazdów, zaproponował mojemu bratu Pawłowi i mnie, abyśmy zwracali się do Niego po imieniu. Postępował tak w relacjach z wieloma osobami, często o wiele lat od Niego młodszymi. Nie stwarzał dystansu i nie dawał odczuć różnicy wieku. Bardziej był starszym kolegą, aniżeli profesorem, mimo że *P r o f e s o r e m* był mimo braku stosownych tytułów naukowych. Gdy któregoś dnia, nie będąc do końca pewien czy rzeczywiście wolno mi mówić do tak znanej Osobistości po imieniu, zacząłem na powrót mówić do Niego „*Panie Profesorze*”, On odrzekł: „*Nie myl się!*”.

Marian Sawa znany był z niebywalej wprost inwencji twórczej. Manifestowała się ona nie tylko częstotliwością i szybkością tworzenia, ale także nadzwyczajnymi zdolnościami improwizatorskimi, z których słynął. Jego improwizacje miały w sobie coś szczególnego, niepowtarzalnego. Inwencja, zawsze zdumiewająco bogata, ujawniała się zazwyczaj jeszcze silniej, gdy miał do dyspozycji dobry instrument. W tym miejscu warto przypomnieć pewien szczegół. Wielokrotnie trasa koncertowa Chóru ATK trwała cały miesiąc: codziennie koncert, Msza święta z udziałem Chóru, niekiedy szereg innych okolicznościowych imprez i spotkań. Taka sytuacja stawała się przyczyną zmęczenia chórzystów i znużenia wykonywanym repertuarem. Tymczasem Marian Sawa za każdym razem potrafił wprowadzić inny klimat do tych samych utworów. Jego improwizacje nie tylko nastrojały słuchaczy, ale także nas samych – wykonawców. Nie mogłem wyjść z podziwu, gdy w 1993 roku w Blombergu koło Hanoweru Marian Sawa improwizował na zakończenie pożegnalnej Mszy św. na tematy większości śpiewanych przez chór kompozycji, dodając do tego hymny Polski i Niemiec, *Odę do Radości* z IX Symfonii Beethovena (jakby przeczuwając, że stanie się ona niebawem hymnem zjednoczonej Europy), kończąc zaś podwójną fugą.

Z innych, budzących uśmiech na twarzy, a może i łezkę w oku wspomnień warto odnotować jeszcze jeden drobiazg. Podczas postojów autokaru, na wspomnianych wyżej wyjazdach, Marian Sawa szukał zawsze... czterolistnej koniczyny. Później był już z tego znany. Chórzyści pytali Go każdego ranka, czy już znalazł kolejną czterolistną koniczynkę...

Bywały także sytuacje zabawne. Zdarzało się bowiem, że nie pamiętał brzmienia swoich dzieł (trudno się dziwić przy tak obfitym ilościowo dorobku). Któregoś dnia, podczas jednego z wyjazdów, spytał mnie w czasie próby chóru: „*Co to za utwór? Bardzo ładny!*” Odpowiedziałem: „*Nie poznajesz? Przecież to Twoje Ego sum panis vivus!*”...

W latach 1992-2003 Marian Sawa pracował w sekcji muzykologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Z chwilą oddania w użytkowanie nowego gmachu uczelni mieliśmy w pobliżu siebie pracownie. Zajęcia też odbywaliśmy zazwyczaj w te same dni tygodnia. Odwiedzaliśmy się podczas przerw, czasami szliśmy razem na kawę. Były to zawsze chwile na rozmowy o różnych sprawach. Studenci muzykologii często wykonywali Jego kompozycje fortepianowe i organowe. Zawsze służył im swoją radą. Bywało, że sam wskazywał studentom własną wizję danego dzieła, ale też akceptował ich wybory. Cieszył się z tych wykonań i zawsze uczestniczył w egzaminach i audycjach. Po przejściu na emeryturę pracował jeszcze przez rok na muzykologii, już tylko w ramach zleconych godzin dydaktycznych, których miał zaledwie kilka. Mawiał wówczas, z właściwym sobie poczuciem humoru, że traktuje tę pracę jako „płatny spacer”...

Marian Sawa znany był z tego, że nigdy nie odrzucał zamówień. O nowe dzieła zwracali się do niego zarówno artyści uznani, jak też studenci i uczniowie. Tego rodzaju prośby zawsze spełniał chętnie, a w przypadku młodych adeptów sztuki muzycznej za każdym razem tworzył dzieło adekwatne do umiejętności osoby zamawiającej. Gdy sam prowadził klasę organów w warszawskiej ATK napisał dla jednego z roczników cyklu *Preludiów manuałowych* (1994), które studenci wykonywali później na egzaminie końcowym z organów (*nota bene* zajęcia odbywały się początkowo, ze względu na trudności lokalowe uczelni, u Niego w domu na zabytkowej dwumanuałowej fisharmonii). Na moją z kolei prośbę powstało kilka miniatur fortepianowych, które stale wykonują studenci muzykologii UKSW. O jedną z nich poprosiła osobiście Mistrza pewna studentka. Sawa zapytał wówczas: „*Jak masz na imię?*” – „*Agnieszka*” – odpowiedziała. – „*W takim razie będzie się rozpoczynało od dźwięków A – G*” – rzekł twórca.

Marian Sawa znany był z właściwej sobie zabawy dźwiękami. Oparcie materiału muzycznego na imionach osób (nie zawsze możliwe), dla których pisał dany utwór, było jedną z cech charakterystycznych jego techniki kompozytorskiej. Inną, także typową cechą Jego języka dźwiękowego jest łączenie elementów ludowych, tanecznych z powagą chorału gregoriańskiego lub polskich pieśni kościelnych. Takie elementy łatwo odnaleźć w licznych utworach organowych Sawy. Niekiedy zdarzały mu się pomysły zaskakujące, jak choćby w utworze *B-A-C-H* na organy (1987), w którym nagle i niespodziewanie pojawia się początkowy „motyw losu” z *V Symfonii* L. van Beethovena.

Zawstydział mnie zawsze, gdy dzwonił do mnie pierwszy. Myślałem sobie w takich sytuacjach: *to ja przecież pierwszy powinienem zadzwonić do Niego*. Sawa nie dbał o konwenanse. Zawsze dzwonił pierwszy, pytał o zdrowie, o przebieg codziennych spraw. Nigdy się nie przedstawiał. Nie musiał. Gdy w słuchawce zabrzmiało Jego słynne „*Hej-hej*” – od razu można się było zorientować, kto dzwoni.

Był bezstronny. Ilekroć z Nim rozmawiano, przyjmował uwagi, refleksje, ale sam nie zajmował stanowiska. Znany był też z tego, że nigdy o nikim źle nie mówił.

Przed koncertem jubileuszowym na swoje 65. urodziny, który miał się odbyć w warszawskiej Akademii Muzycznej, spotkałem Go w przerwie zajęć na UKSW. Zaprosił mnie wówczas na ów koncert, ale dodał równocześnie, że nikogo specjalnie o tym koncercie nie informował. „Może ktoś przyjdzie” – zastanawiał się... Jakież było moje zdumienie, gdy sala koncertowa Akademii podczas uroczystości jubileuszowej pękła w szwach. Z trudem można było znaleźć nawet stojące miejsce!

Jego ostatnie „publiczne wystąpienie”: obrona mojej pracy doktorskiej (7 marca 2005, AMFC). Przyszedł, mimo że czuł się już bardzo źle. Twarz pożółkła, głos słaby. Z trudem się poruszał. Łatwo można się było zorientować, że każdy ruch, gest, mówienie wiąże się dla Niego z ogromnym wysiłkiem. Mimo to przyszedł. Pamiętał o mojej obronie mimo bardzo złego stanu zdrowia! Tamtego wyjątkowo zimowego dnia nawet mi przez myśl nie przeszło, że za niespełna półtora miesiąca nie będzie Go już między nami...

W szpitalu warszawskiej Akademii Medycznej, w którym spędził ostatnie chwile życia, szkicował jeszcze fragmenty nowego oratorium *Carmina lucis*. Teksty do planowanego dzieła dostarczył Mu ksiądz Kazimierz Szymonik. Niektóre, w tym pisane po łacinie wierszem, ułożył sam. Planowanego utworu nie zdążył już niestety napisać.

Marian Sawa zmarł 27 kwietnia 2005 roku, na kilka dni przed prawykonaniem w Bazylice Jasnogórskiej Jego *Missa Claromontana* (2005) na chór mieszany, organy i kofty, przygotowanej na zamówienie Ośrodka Promocji Kultury *Gaude Mater* – celem uświetnienia inauguracji liturgicznej XV Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej *Gaude Mater* w Częstochowie. Dzieło stało się także Jego *Requiem*... Mszę wykonano bowiem podczas uroczystości pogrzebowych, które odbyły się 5 maja 2005 roku w Bazylice Św. Krzyża w Warszawie.

Odszedł Ktoś wymykający się wszelkim ocenom. Wspomnienia o Marianie Sawie nie da się streścić w kilku słowach. Określenie Go mianem „wybitny kompozytor, pedagog, organista improwizator” to zdecydowanie za mało. Potrzeba jeszcze czasu, aby wielkość Jego dzieła została obiektywnie, należycie i właściwie oceniona.

**Niniejszy tekst stanowi fragment omówienia dwupłytkowego albumu pt.:**  
**“M A R I A N S A W A - u t w o r y f o r t e p i a n o w e”**  
**w wykonaniu Marcina Łukaszewskiego i Jakuba Kopczyńskiego**  
**(Musica Sacra Edition 005-006)**